



# PROMYK

GAZETKA UCZENNIC GIMNAZJUM IM. KRÓLOWEJ  
JADWIGI W KRAKOWIE.

ROK I. 15. KWIETNIA 1926. Nr. 3.

## DWIE KSIĘŻNICZKI NIWERNEŃSKIE W POLSCE.

M. D. VIII.

**N**ewers, główne miasto departamentu de la Nièvre, podejmowało niegdyś u siebie dwie polskie królowe: Marię Ludwikę Gonzagę, żonę Władysława IV., potem Jana Kazimierza oraz Marię Kazimierę de la Grange d'Arquien, żonę króla-bohatera Jana III. Sobieskiego.

Marija Ludwika Gonzaga, księżniczka Mantui (księstwo niwerneńskie otrzymała dopiero później od Ludwika XIII.), odznaczała się wielką inteligencją, oraz pięknym, stałym charakterem. Jako żona Władysława IV., (który pojął ją za żonę po śmierci pierwszej swej żony Cecylji-Renaty, arcyksiężniczki austriackiej), przybyła do Polski w r. 1646. wraz z późniejszą królową polską, wtedy jeszcze 11-o letnią dziewczynką, Marią Kazimierą, córką markiza Henryka de la Granga d'Arquien i Franciszki de la Stratre Brillebant, damy dworu Marii Ludwiki.

Piękny to typ królowej. Z niezłomną siłą umiała ona znosić wszelkie niepowodzenia, przykrości życiowe i zakosztowała nawet wygnańczego chleba.

Po śmierci Władysława IV. poślubiła Jana Kazimierza, króla szlachetnego, bohaterskiego, lecz nieszczęśliwego.

W czasie wojen kozackich i szwedzkich, w których Jan Kazimierz okazał niezwykłą dzielność i odwagę, szlachetność i pięć-

ność charakteru jego małżonki zabłysły w całej pełni. Ona podtrzymywała moralnie swego męża, brała udział w obradach panów polskich i przyczyniła się do zorganizowania obrony Krakowa.

Na wygnaniu królowa nigdy nie okazywała przygnębienia lub zniechęcenia. To był doprawdy „majestas infracta matis“ — jak mówi Sienkiewicz w swej Trylogji. Im więcej cierpiała sama, tem więcej starała się uspokoić cierpienia drugich.

Marja Ludwika — to typ królowej-filantropki. Opiekowała się ona choremi, opuszczonemi dziećmi i ona to sprowadziła do Polski Siostry Miłosierdzia. Po powrocie z wygnania, pierwszą jej myślą było zakładanie szpitali i schronisk dla biednych i kalek.

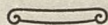
Ta Francuzka, która kochała Polskę jak swój własny kraj, pragnęła ją widzieć silną, potężną, pełną blasku i chwały, jaka opromieniła podówczas monarchę Ludwika XIV. Zakończyła swój żywot ze słowami: „ergo moriendum“ na ustach.

\* \* \*

Innym był charakter drugiej księżniczki niwerneńskiej Marii-Kazimiery. Piękna, zalotna, nie posiadająca jednakże ani wysokiej inteligencji, ani stałego charakteru swej protektorki, umiała pokierować swem przeznaczeniem. Poślubiła najpierw Jana Zamojskiego, jednego z najbogatszych panów polskich, a po jego śmierci Jana III. Sobieskiego. Ulubionem miejscem pobytu obu małżonków był pałac Marie-Mont (dzisiaj: Marymont) w Warszawie.

Po śmierci Jana III. przeniosła się do Rzymu, gdzie spędzała czas w sposób, nie zbyt odpowiadający wdowie po obrońcy chrześcijan. Umarła, mając lat 77.

Obie królowe spoczywają obok swych małżonków w grobach królewskich na Wawelu w Krakowie.



## ARTUR GROTTGER. J. Z. VI.

**Z**e względu na szczytne miejsce Grottgera w gronie naszych rodzimych malarzy-artistów, warto mu kilka słów poświęcić.

Artur Grottger urodził się w r. 1837. we wschodnio-małopolskiej wiosce Ottyniowice, której dzierżawcą był ojciec Artura, Józef Grottger. Mały Artur już od najmłodszych lat wykazywał niezwykłe zdolności i rozwijał je, rysując pod umiejętnem kierownictwem ojca rzeczy widziane w naturze, ludzi, konie, nadewszystko obrazki z życia obozowego i bitwy, o których mu wiele opowia-

dał ojciec, bo sam brał udział w powstaniu. Już jako czternastoletni chłopiec zyskuje sobie Grottger opiekuna w osobie hr. Pappenheima, majora wojsk austriackich: bawarski magnat, zachwycony małym obrazkiem, przedstawiającym pogoń szlachty za Tatarami, bierze chłopca w opiekę i umożliwia mu kształcenie się. Jedzie więc Artur na studia do Lwowa; tu za bytności w mieście cesarza Franciszka Józefa, zostaje przedstawiony cesarzowi, który ujrzawszy dużą akwarellę: Wjazd cesarza do Lwowa, zainteresował się jej autorem i nazaczył mu stypendjum 20 florenów miesięcznie w celu ułatwienia studiów. Grottger, wysłany do Krakowa, wstępuje do szkoły Sztuk pięknych, jako jeden z najwybitniejszych jej uczniów. Zaprzyjaźnił się z Janem Matejką, a szczególnie z Adrejem Grabowskim; obaj młodzieńcy, którym nie wystarczała praca szkolna, wymykają się poza miasto i tam malują, rysują wszystko, co ciągnie oczy i raduje serca. W siedemnastym roku życia, osierocony po śmierci ojca, staje się Artur opiekunem i podporą materialną rodziny. Opuszcza Kraków i udaje się do Lwowa na krótki pobyt, z którego datują się liczne akwarellki, szkice ołówkowe, potyczki, Beduini a przedewszystkiem próby portretowe; poczem jedzie do Wiednia.

Pierwszy rok pobytu w obcym mieście był dla Grottgera bardzo ciężkim: głód, chłód i niewygody dokuczały młodemu artyście, który jednak, nie zrażając się przeciwnościami, podejmuje się pracy zarobkowej, a jednocześnie wzorowemi pracami w akademji zyskuje uznanie profesorów. Wakacje spędzone w kraju i następne lata w Wiedniu, lżejsze dla Grottgera dzięki pomocy finansowej Pappenheima, obfitowały w prace, z których ilustracje do „Konrada Wallenroda“ posłał na wystawę do Krakowa. Następuje ważny zwrot w twórczości Grottgera: powstają cykle, czyli szereg obrazów, związanych ze sobą treścią; są to: „Szkoła szlachcica polskiego“ i „Trzy dni z życia szlachcica polskiego“. Tę formę cykli udoskonalił Grottger jeszcze w późniejszych czasach. Wysłany na wystawę do Monachjum spotkał się Grottger po raz pierwszy z k a r t o n a m i, to jest obrazami jednobarwnymi. Ten kierunek w malarstwie tak mu przemówił do przekonania, że wstąpiwszy na nową drogę, ćwiczy się malowaniem tryptyków, aby pełnią talentu zabłysnąć potem w „Polonii“, Lituanii“ i „Wojnie“. Powróciwszy do Wiednia, pracuje z wyczerpaniem nad obrazem na popisową wystawę uczniów: Oto „Wjazd Jana III. do Wiednia“. Jasnością i czystością barwy, doskonale uchwyconym

ruchem ludzi i koni, zachwyił obraz profesorów akademii i samego Pappenheima. Grottger otrzymał nagrodę 300 florenów, a prócz tego zapłatę za obraz, który zakupiło muzeum w Pradze Czeskiej.

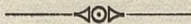
Tymczasem wybuchła wojna między Austrią a Włochami, popieranemi przez Francję; chwila przełomowa w życiu Grottgera: zdobywa samodzielność, rysując ilustracje do poczytnych pism wiedeńskich. Zarabiając dosyć, sprowadza do Wiednia rodzinę, za którą tak tęsknił! Tymczasem zbliża się czas, w którym Grottger dochodzi do mistrzostwa. Pracuje wytrwale, wciąż się udoskonala; powstaje wtedy „Modlitwa konfederatów barskich“, do którego-to obrazu studjował twarze polskich chłopów i szlachty podczas krótkiego pobytu na wsi pod Lwowem; następnie „Modlitwa rolnika“, „Ucieczka Henryka Walezjusza“, nabyta do Londynu, „Zygmunt i Barbara“ i portret Pappenheima. O ogromie pracy Grottgera świadczy liczba 250 ilustracji, wykonanych w okresie 5 lat od 1859. do 1864. r.! Tymczasem stosunek Grottgera do Pappenheima oziębia się; Pappenheim chciał ze swego pupila zrobić nadwornego malarza cesarza: a Grottger miał duszę przepełnioną tęsknotą za ojczyzną, wyobraźnię pełną twórczości, ręką pewną już i wyrobioną chciał się ojczyźnie przysłużyć.

Nadszedł rok 1861.; wypadki dnia 27. lutego i 8. kwietnia, które zaszły w Warszawie, odbiły się w duszy Grottgera. I stało się, czego Niemcy pojąć nie mogli: Grottger, nie będąc świadkiem zająć, wyczuł je subtelnie, miłością ojczyzny przepełnionem sercem i stworzył dzieło, złożone z 7. obrazów, zatytułowane „Wypadki 1861 r.“. A oto drugi, o podobnej treści cykl „Warszawa“, na której okładce widnieje napis: „Pamięci poległych i rannych na ulicach Warszawy współbraci, a ku wiecznej morderców hańbie — 27. lutego — 8. kwietnia 1863. r.“. Obraz nabył hr. Dzieduszycki do swych zbiorów. Rok 1863. przyniósł wiekopomne dzieło — „Polonię“, stworzoną ze wspomnienia i tęsknoty Grottgera, któremu, patrzącemu z obczyzny, jawiły się obrazy, owite w mgłę oddalenia... „Polonia“ nie znajdowała nabywcy, ku zgryzocie Grottgera: tematy do jego obrazów nie podobały się rządowi; tracił coraz bardziej dochody, a ostatnim groszem wspomagając braci, sam głodem przymierał. Pocichę znajduje w pracy: powstaje „Śmierć Borejszy“, dyptyk: „Walka i pojednanie“, „Powstaniec“ i „Nokturno“. Tymczasem nabywca hr. Janos Palfy z Preszburga, uwozi „Polonię“ do swego zamku w Bâjmocs płacąc 3.000 florenów i 1.000 za

prawo reprodukcji. Suma ta zapewniła Grottgerowi na pewien czas luksusowe życie; trwało krótko — dopóki starczyło pieniędzy. Odtąd żyje Grottger w niepewności jutra, w ciągłych kłopotach. Życie płynie mu naprzemian to w Wiedniu, to w Krakowie i znów w Wiedniu, który ostatecznie opuszcza. Z czasów tych pochodzą dzieła: „Wedeta“ — czyli straż leśnych ostępów „Przejdźcie przez granicę“ i „Tańce polskie“.

Osiadł następnie Grottger w Śniatynce, wiosce St. Tarnowskiego. Orzeźwiło go zdrowe, karpackie powietrze; wyzdrowiał trochę i dalej malował: „Szkółkę wiejską“ śliczny obrazek olejny i znów dyptyk „Pożegnanie“ i „Powitanie“. Do twórczości, obok powracającego zdrowia, pchała go druga siła: miłość. Na balu w „Strzelnicy“ we Lwowie poznał śliczną pannę Wandę Monné, która niebawem została jego narzeczoną. W tych to warunkach powstała „Lituania“ która opowiada, co się w tych latach, pamiętnych walkami krwawymi, działo w kniejach litewskich. Gdy doskonałe to dzieło nie spotkało się z należnym mu uznaniem na wystawie w Krakowie, rozgoryczony Grottger rozpoczął tułacze życie, pisując do narzeczonej i malując: „Wieczory zimowe“, „Rekreacje na Sybirze“ i później wykonany „Pochód na Sybir“. Ale nie same tragiczne obrazy malował Grottger; sam mając duszę jasną i prostą, jak dziecko, malował dzieci: Oto „U grobowca Kościuszki“, „Kolędniczy“ i „Mała muzykantka“.

Tymczasem w głowie Grottgera snują się jakieś plany, marzenia narazie nieuchwytnie: a marzyła mu się „Wojna“, cykl wszechświatowej sławy. Część obrazów do niej zrobił w kraju, część już w Paryżu, do którego się udał 1866. r. Paryż nęcił go, ale Grottger nie miał czasu używać jego przyjemności — pracował wytrwale, aż stworzył dzieło głęboko wstrząsające i pełne tragizmu „Wojnę“. Kosztowała go ona wiele: stargał siły fizyczne i moralne; czuł się coraz gorzej; obrazów jego nikt nie kupował, wskutek czego żył w nędzy; chciał wracać do utęsknionego kraju, bo „Paryż był mu tak nieznośnym, że gdyby mógł, to-by stąd był zaraz uciekł“. Jeszcze pracuje, ale niedospiane noce, dni pełne udręki zabiły go: nie pomogły wyjazdy do Pau we Francji i dalej na południe — umarł w grudniu 1867. r. zdala od ojczyzny i ukochanych; jedynym towarzyszem był mu Marceli Krajewski. W dwa lata później sprowadzono jego zwłoki i pochowano we Lwowie, na cmentarzu Łyczakowskim.



## PRZY KOMINKU.

K. R. VIII.

W wieczornej godzinie,  
Lecz nie przy kominie —  
A przy zwykłym, żelaznym piecyku,  
Dwie siedzą dziewice —  
Urocze ich lice —  
A głupstw gadają bez liku.  
„Wiesz co“? — jedna pyta,  
Ta z oczu jej czyta,  
W lot, tajemnic przenika arkana;  
Na dowód uciechy,  
Rozgłośnie brzmią śmiechy:  
Ach! gadałyby do rana!  
„Widziałaś“? „Widziałam“!  
„Słyszałaś“? „Słyszałam“!  
„Wiesz“? „Wiem“! „Rozumiesz“?  
[„Rozumiem“!  
I krążą ploteczki —  
To zabrmi głos sprzeczeki  
Tak często, że zliczyć nie umiem.  
A często też bywa,  
Że myśl się porywa,  
Na wyższe, wznioślejsze też tory;  
Krążą historyczne,  
Kwestje maturyczne —  
Dziewice, pilności to wzory!  
I noc już zapada,  
I „to“ ciagle gada,

Choć ogień dogasa w piecyku:  
Plotkują, żartują,  
I niby tam kują,  
A głupstw gadają bez liku.



## RANEK NAD MORZEM.

J. S. V. kl.

Nad błękitną taflą mórz,  
Błada unosi się mgła.  
Nie widać porannych zórz,  
Ni głębin morskiego szkła.

Mgła wznosi się ku górze  
I coraz wolniej płynie.  
Przy niebie, przy lazurze,  
Gdzieś, za chmurami, ginie.

A tuż w oddali morza,  
U samych brzegów końca,  
Wstaje ze swego łoża,  
Tarcza złotego słońca.

Rybak łódź swą odbija,  
Mknie po morzu szumiącym,  
I z szybkością się zwija,  
By wrócić, razem ze słońcem.



## KARTELUSZE Z PAMIĘTNIKA IMC PANNY JANINY PRAWDZIC GOŁĘBIEWSKIEJ,

pisane na zamku J. W. Krasickich w Dubiecku a. D. 1676. J. G. VII.

Jej Miłość J. W. P. kasztelanowa Krasicka w łaskawej estymie dla ojca mojego, chorążego hufców pancernych s. p. hetmana Czarnieckiego, przydzielić mię raczyła do fraucymeru na zamku dubieckim, jako respektową pannę przy jej osobie. „Quo titulo“

owe krótkie „vitae curriculum“ zalecano mi praepare w dowód oczywisty znajomości „legendi et scribendi“ arkanów.

Światło dzienne ujrzałam w Przedmieściu dubieckim, w posesji Dziadusia mojego a. D. 1655 w chwilach ciężkiej opresji i srogich terminów wojennych, gdy to car Aleksy Litwę, a Buturlin Ukrainę najazdem „occupaverunt“.

Ojciec mój, który jeszcze po uwolnieniu ze Zbaraża a. D. 1648 w dożywocie ziemie nienadowskie przy Dubiecku otrzymał a to „virtutis militaris et fidei titulo“ — musiał dom własny i substancję porzucić, „patriae salutem“ kładąc „primo loco“. Zatem Mateńkę, brata Józka i mnie przemożnej i łaskawej opiece J. W. Krasickich zawierzywszy, na długo odjechał.

Pierwsze moje dziecinne kroki stawiałam na ozdobnym, a cieniastym wirydarzu zamku dubieckiego, który ogromnemi murami zewsząd zbrojny nadto głębokim a szerokim Sanem najlepiej bronił się od swawoli kozackiej i tatarskiej.

Tamto i inna rodzina kasztelana Krasickiego schronienia naonczas szukała, skarby niezmierne, sprzęty drogocenne, gobeliny etc... na zamczyskach obronnych w Dobromilu i w Krasieczynie burgrabiego wiernego i sprawnej ku obronie załogi pieczy zostawując, życie spokojne za Sanem przenosząc nad niepokój we własnym gnieździe.

Ojciec mój, jako się rzekło, animusz swój rycerski „patriae occupatae liberandae“ w ochfierce niósł, zdrowie, ba! żywot swój w służbę przeciw inwazji szwedzkiej pod buławą Czarnieckiego, kasztelana kijowskiego, stawiając.

Z lat onych dzieciństwa mojego pomnę już, jako stryj Michał, zakonnik świętobliwy i misjonarz „eloquentissimus“ pisanie ojcowe przywiózł, aże z Danje dalekiej i jako Matuchna intencje w kościółku przy zamku pańskim na zdrowie Ojca odprawowała, nas dzieci ze sobą przed ołtarz wiodła, modlitwy za ojca nauczając.

Pomnę dalej, jako a. D. 1661. Ojciec nasz powrócił, poszczerbion srodze z lat onych wojennych, ale „in splendore magno“, chorąży i jako nas dziatki tulił a hołubił, sercu czułem za lata one wojen folgując. Pod ojcową Jegomości pieczę substancja nasza nienadowska znów kwitnąć i profit bogaty nieść zaczęła, jako, że czasu wojny srodze podupadła.

Naonczas w domu naszym zamieszkał krewniak ojcowy, Chryzostom Gołębiowski, który się później do zakonu Augustjanów sposobił, jako, że uczonej wymowy wielką zdolność zdradzał. On

tedy nas, mnie i Józka w „legendi et scribendi“ arkanach zaprawiał „item latinae“, która to sciencji siłą dziś nas między panięta wynosi.

Za tę to pracę i wiedzę serca nasze zawsze przy O. Chryzostomie wiernie zostaną.

Po króla Jana Kazimierza abdykacji a. D. 1668, po zamieszek a niepokoju pełnych króla Michała rządach, ster nawy ojczystej „rex et defensor Joannes III.“ miłościwie nam panujący ujął. Którento Pan rycerski inwazję turecką pod Chocimem wiktoria niezmierną zniósłszy, „fundamentum“ położył potęgi naszej i pokoju.

Na zamku naszym w Dubiecku błogie nastały czasy a przy wspólnej pracy codziennej wiele nam zakwitło radości i do afektów serdecznych nierzadkie okazje. Moc tu wielka zacnie urodzonych kawalerów a godnych kampanionów młodego kasztelanica zajeżdża, aby i zacnej amicieji i wspominkom wojennym dać folgę.

A że przy takowej okazji wiele oczu gorejących na nasz frau-cymer łakomie spoziera, ba, ma!o!, czulej ofenzywie grzecznych lmc kawalerów z chorągwi siły nasze niewiast, słabych a stęsknio-nych, sprostać nie nadaża. Każda tedy nie jednego a kilku ma adoratorów... W opresji onej wyboru sztuka trudna.

I mnie nie ominęła owa słodka inwazja i ja lica widziałam rycerskie i spojrzenie, którego póki życia nie zapomnę. Imienia onego męża nie wydając tu pismem, tem głębiej w sercu je noszę...

\* \* \*

A owóz radość powszechna ożywiła dwór cały wieścią nie-zwykłą: kasztelanowa pani nasza najłaskawsza z dworem całym wyrusza ku Warszawie, gdzie szlachty z Polski całej kongressus niebywały.

Dniami całymi i wieczorami, nabożne i wesołe pieśni śpie-wając, szatki mnogie co najozdobniejsze z materji srebrem prze-cudnie tkanych, aksamitów, atłasów onych a tabrinów morowych w barwach najcudniejszych wszelakich, które w sepetach mnogich aże ze Lwowa zwieziono, wymyślnymi sposobami szyłyśmy.

Wiele przytem zachwyków, a przekomarzań było, bo ciekawe adoratorów onych spojrzenia tajemnicy nijakiej utrzymać nie dały.

Po godach w zamku naszym suto a hucznie odbytych, sań misternie suknem i futrami wybitych korowód cały ruszył ze sotnią zbrojnych semenów i nie mniejszego zastępu mężów rycerskich, którzy konno przy saniach naszych, a inni w sanicach ozdobnych, asystować raczyli.



A wieleć było wesela i gwaru, chocia i nie bez starć kilkakrotnych między co gorętszemi współzawodniki.

Kuligiem tak jadąc zbrojno a dworno, co noc w innym dworcu podejmowani, miesiąc bez mała peregrynację ową odprawowaliśmy.

I nie dziw, bo wszędzie suto goszczeni, nie jedną nocy w tańcu upojnym spędzać nam padło, czemu żadna z nas skargą nie oponowała. Aż dzień on nadszedł, gdy rozgłosne z bandoleatów strzelanie wszem oznajmiło, iż „in conspectu“ murów a wieżyc stołecznych do celu podróży zbliżamy się.

A jako w dworcu zacisznym ojcowym wzroslemi imaginacji żadnej o stolicy naszej „immenso splendore“ mieć nie mogłam — wrażeń nowych a zachwyków takowe mnóstwo „mentem meam occupavit“, że myśli zebrać niezdolna pisanie pamiętnika tego na czas zawiesić muszę.

\* \* \*

„Factum“ one najważniejsze i najpamiętniejsze otwarcie tu wpisać mi się godzi, od którego drzę cała i płomieniem a lubością płoną.

Imć p. Jan Konstanty Tyniecki, towarzysz pancerny na recepcji tanecznej w pałacu J. W. Zamojskich w tańcu deklarował, że życia bezemnie znać nie chce, od roku zgórą już cichym a gorącym afektem mnie jedną upodobawszy. Piórem tego opisać nie zdołam, jakom mu wzajemność a wiarę dozgonną oddała i piórem tego nie będę kreśliła, czem od chwili onej jedynej żyjemy. J. W. kasztelanowa pani „protectionem“ swoją łaskawą ofiarować nam raczyła; tak tedy na nowe życie, na świat nowy społem nam obojgu, da Bóg, wkrótce wstąpić przyjdzie.

---

## O CHOPINIE.

M. D. VIII.

Dnia 19. września 1863. r. padło z pałacu Zamojskich w Warszawie kilka bomb na przechodzącego w tej chwili hr. Berga, namiestnika carskiego w Królestwie Polskiem. Pałac wraz z przylegającą do niego kamienicą, skonfiskowano, mieszkańców zaprowadzono do cytadeli, kobiety powypędzano. Kamienicę zaczęło płądrować rosyjskie żołdactwo: meble, książki, wszystko cokolwiek znaleziono, wyrzucano przez okno lub palono. Kilka fortepianów, a między niemi i ten, na którym uczył się grać Chopin,

wirtuoz polskiej muzyki romantycznej, spalono u stóp pomnika Kopernika.

Tak zginęły pamiątki po Chopinie. Sądzone przez dłuższy czas, że i korespondencja młodego wirtuoza zginęła w czasie tej grabieży. Było to jednak, na szczęście, błędne mniemanie. Rodzina ukrywała starannie ocalone relikwje. Dopiero w r. 1902 pozwoliła Mieczysławowi Karłowiczowi, młodemu muzykowi polskiemu, wydać najważniejsze z tych listów. Odzwierciedlają one w najgłówniejszych zarysach całe życie Chopina. Temat ten podejmowało już wielu przed Karłowiczem, jak: Maurycy Karasowski, Fryderyk Niecks, Hunecker, lecz wszystkie większe dzieła o Chopinie były pisane w języku obcym.

Przypuśćmy, że wszystkie te źródła są nam znane. Czyż wszystkie wątpliwości, odnoszące się do życia Chopina, wyjaśnią się nam wtedy? — Bynajmniej.

Chopin był bardzo tajemniczy. „Najserdeczniejsi z jego przyjaciół“ — pisze o nim przyjaciel Liszt — „nie zdołali dotrzeć do tego świętego zakątka, w którym kryła się tajemnica jego wielkiej duszy, dalekiej od rzeczywistego życia, zakątka tak ukrytego, iż zdawało się, jakoby on wcale nie istniał. O sprawach, które przejmowały jego czułe serce do głębi, nie mówił nigdy. Szczerze religijny, nie poruszał tego przedmiotu zupełnie, nie wspominał o miłości ani przyjaźni. Jednym zaś z jego dziwactw, było to, iż nie lubił pisać listów. Wielu z jego przyjaciół nie znało jego pisma wogóle“. Stąd też całe okresy jego życia są okryte nimbem tajemniczości.

Lecz nie potrzeba sięgać tak daleko: aż do korespondencji Chopina. Oblicze jego duchowe możemy odtworzyć, wsłuchując się w jego czarowną muzykę, o której Liszt tak się wyraża: „w niej wszystko jest subtelne, aż do uniesień i gniewu. Odzwierciedlają się w niej wszystkie drgnienia duszy szczerze i proste, zbyt przenikliwe, by je uchwycić można, zbyt delikatne, by je opisać“. A właśnie Chopin, uchwyciwszy je i opisawszy przy pomocy nieskończonej sztuki, stał się niezrównanym artystą.

Muzyka bowiem — to praca ducha i serca.

\* \* \*

Syn profesora liceum warszawskiego, już jako 8-letni chłopiec dał pierwszy koncert. W 15-tym roku życia komponuje sonaty, ronda („Rondeau à la marur“, ofiarowane p-e Morioles). Talent młodego wirtuoza rozwijał się szybko, dzięki rozumnej metodzie

nauczania prof. Elsnera, dyrektora konserwatorium warszawskiego, który wybitnych zdolności nie krępował żadnymi pedantycznymi wskazówkami. Wkrótce ilość kompozycji młodego geniusza powiększają polonezy, warjacje, koncerty. Chopin stał się wkrótce głośnym w arystokratycznych sferach (dłuższy pobyt u ks. Radziwiłła w Poznaniu).

Aż wreszcie w r. 1830. opuszcza ziemię rodzinną. Przyjaciele, którzy towarzyszyli odjeżdżającemu do najbliższego miasteczka, ofiarowali mu grudkę ziemi, zamkniętą w srebrnym pudełku. Chopin, przyjmując ten dar serdeczny płakał... Przeczynał, że Polski już więcej nie ujrzy. Opuszczał tę, którą kochał. Jechał do Wiednia zdobywać sławę, a znalazł tam wiele przykrości. Przepędził 7 miesięcy smutniej, niż jego Ojczyzna, która w tym czasie, zbuntowawszy się przeciw przemocy Rosji, walczyła rozpaczliwie o swą wolność. Za słaby, by jej bronić, ileż musiał wycierpieć Chopin, zdala od swoich!...

Lecz zawsze wierny swej naturze, nie dał poznać po sobie, jak bardzo cierpiał. Listy do rodziców były zawsze wesołe, bez troskie. On powierzał swe smutki i bole jedynie profesorowi, najlepszemu przyjacielowi swemu.

Bezmierny smutek, ból i tęsknotę za ojczystą ziemią wypowiedział w swych „Etiudach“, z których ostatnia napisana na wieść o zajęciu Warszawy przez Rosjan, zdaje się gwałtownymi ruchami lewej ręki i potężnymi uderzeniami prawej wzywać na pomoc Ojczyźnie cienie zmarłych bohaterów.



## SAHARA I JEJ MIESZKAŃCY.

(Z mojej lektury).

L. M. VI. kl.

Największą znaną nam pustynią jest Sahara, zajmująca cały północny pas Afryki. My przedstawiamy ją sobie zwykle, jako wielką pustynię piasku, przepaloną promieniami słońca, bez śladu kultury i mieszkańców. Pogląd ten jest jednak mylny.

Wśród pustych i suchych obszarów, natrafia się gdziegdzie na żyzne i piękne okolice, które wzbudzają zachwyt u każdego podróżnika. Żłotawy piasek w niektórych miejscach wznosi się stromo, dochodzi do 50 lub 100 metrów, w innych rozciąga się w łagodnych, lekko wygiętych, falistych linjach, w innych wreszcie, tworzy płaszczyny gładkie jak tafla wody.

Dziwną i obcą dla podróżnika jest niezwykła cisza pustyni, a piękno jej uspokaja najbardziej rozstrojonych, szczególnie w nocy, gdy na zawsze pogodnym i jasnym niebie gwiazdy błyszczą jaśniej, niż gdziekolwiek na świecie, a karawany mkną niby cienie cicho, po jasnej powierzchni piasku.

Co jednak na pustyni jest najpiękniejszym, to oaza, na której przyroda złożyła wszystko co żyje. Ożywia te oazy woda, ta bowiem stroi gaje w cudne palmy, daktyle, daje cały urok i ozdobę ogromnym ogrodom pustynnym. Jednak i tu pustynia przerzuca rozpalony piasek nie tylko na krańce, ale i czasem do środka gajów. Trzeba więc wielkiego wysiłku, aby te miejsca uchronić przed zniszczeniem.

Sahara, ta największa ze wszystkich pustyń, jest zaludniona dzięki wielbłądowi jedynemu zwierzęciu i dzięki palmie daktylowej, nieocenionej roślinie; rozwinęło się tu pasterstwo i uprawa roli.

Klimat pustyni, brak wody, niezmiernoność równin, gdzieśgdzie rozrzucone pastwiska, to czynniki, które zmuszały człowieka do życia koczowniczego, trochę nawet burzliwego. Przyroda Sahary przeszkadza też teraz skupianiu się ludności, dlatego rzadko można napotkać obóz liczący ponad 100 ludzi (prócz karawan), rzadko kilka tysięcy wielbłądów razem.

Mieszkańcy Sahary to Tuaregowie i Tubuowie, oblicza ich smutne i pełne rezygnacji, robią na obcych przykre wrażenie na tle pięknej, lecz leniwej przyrody, monottonnych krajobrazów.

Jednak te ludy ospałe nie są. Ciągłe borykanie się z przeciwnościami zmusza je do działalności. Dlatego są one czynne, pomysłowe, niezawisłe, pełne silnej woli, przytem jednak ponure i smutne.

Nomada zaś, czyli koczownik Sahary nie uznaje żadnej władzy, organizacja patryjarchalna do niczego go nie zmusza, a więc jest wolny.

Ludność ta koczownicza, żyje pierwotnie, nie ma meczetów, ani łaźni, zaniedbuje więc mycia przepisanej religią mahomekańską.

Nie w tym dziwnego, gdy weźmiemy pod uwagę, że mieszkańcy mają zaledwie tyle wody, aby zaspokoić pragnienie.

Ludność ta, nadzwyczajnie gościnną, żywi niechęć do ludności miast, którym zarzuca bezczynność, brak gościnności i oszukaństwo. Ta niechęć jest przyczyną rozterek, czasem nawet walk, dających się odczuć dotkliwie obu stronom.

Nomada pustyni nie może się trudnić hodowlą owiec i kóz z powodu braku wody, którą w większej obfitości znajduje się tylko koło oaz. Wielbłądów na tyle nie posiada, aby się mógł żywić ich mięsem, dlatego też bardzo często ludy te cierpią głód, a w braku czego innego, żywią się myszami, jaszczurkami, szarańczą, żywicą. Najuboższa ludność — Tedowie, przez większą część roku żyją o głodzie, a jedyne ich pożywienie stanowią twarde owoce pewnego gatunku palmy. Koczownicy trudnią się rabunkiem, a więc, gdy im głód dokuczy plądrują oazy, napadają na karawany, oraz na siebie samych. Ten rabunek czyli w ich języku *razzia*, jest potrzebą życia, a pojęcie człowieka wolnego i rabusia jest równoznacznem tak, że „on jest wolny“ znaczy tyle co „on plądruje“.

Aby się zabezpieczyć przed rabusiem trzeba sobie kupić opiekę szczerpów. Polega to na tem, że obcy zawiera poprostu traktat z naczelnikiem bandy, a ten po okupie zobowiązuje się strzec go na danym obszarze przed rabunkiem, napadem i innymi podobnymi przyjemnościami.

Jestestwo nomadów, pogarda dla pracy (nie mówię o ludności stałej), i poczucie niezawisłości odbija się w słowach ich do *Nachtigala*, podróżnika afrykańskiego (1834—1885):

„Żyjemy wyłącznie nieprawością i grzechem, ale w jaki sposób mamy zachować swe życie? Praca! Ojcowie nasi nigdy jej nie znali i byłoby dla nas wstydem przyzwyczajać się jeszcze do tego obyczaju“.

(C. d. n.).



## Z DIENNICZKA JULKI.

IV. kl.

Przed kilku dniami widziałam po raz pierwszy pożar. Była może dwunasta godzina w nocy, gdy się obudziłam i ujrzałam na ścianie odbłask łuny. Przerazona wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do okna. Jeden z budynków fabryki, od którego oddzielał naszą willę tylko ogród, stał w ogniu. Zanim dano znać o pożarze, płomień wydobywający się z początku pojedynczo z pod dachu składu węgla, zlały się w jedną ogromną pochodnię. Wkrótce znalazły się drabiny, sznury, sikawki, a strumienie wody trysnęły w górę. Węgiel złożony w magazynie palił się jak słoma, cóż

znaczyło te kilka strumieni wody wobec potęgi ognia. To też z niepokojem oczekiwano przyjazdu straży ogniowej z miasta. Tymczasem cała energia ratujących, pod przewodnictwem mojego tatusia, zwróciła się na obronę sąsiednich budynków. Podziwiałam jego spokój, z jakim wydawał rozkazy. Mimo wszelkich usiłowań, nie obroniono domków robotniczych, które długim szeregiem ciągnęły się wzdłuż fabryki. Wszczął się hałas i zamieszanie. Ludzie z rozpaczą i gorączkowym pośpiechem wynosili rzeczy.

Jasna łuna od palących się budynków zalała niebo. Ogień wzrastał się z nadzwyczajną szybkością. Jego krwawe języki łakomie lizały mury sąsiednich budynków. Wszystko dokoła było oblane czerwonym blaskiem. Zdawało się, że rzeka przepływająca przez ogród, płynie żywym ogniem. A straż miejska nie nadjeżdżała. Z dachów wyższych budynków spływały ogniste fale na niższe. Pożoga szła ciągle naprzód, szerząc zniszczenie. Budynki rozpadały się w gruzy z ogromnym hukiem. Od czasu do czasu z tego ogromnego ognistego stosu, wystrzelały ku rozgorzałemu niebu olbrzymie fontanny i słupy promieni, rozpylając się w górę w złociste pióropusze i skry. Widok był imponujący, wspaniały i straszny! Jakże drobną i małą czułam się wobec tego szalejącego ognia! A on zwycięski wysyłał coraz dalej ogniste, gdzieś-niegdzie w ciężki szary dym owinięte, syczące węże. Wreszcie nadjechała straż z miasta. Między morzem płomieni w chwilę po przybyciu, uwijały się gromady pracujących strażaków z nieustraszoną odwagą. Ogromne sikawki wylewały strumienie wody na rozpalone budynki. Ogień syczał z wściekłością, blednąc coraz bardziej jakby z przerażenia. Wreszcie ugaszono pożogę. Czułam jakąś dziwną dumę i radość z tego zwycięstwa woli i rozumu człowieka, odniesionego nad tym płonącym żywiołem, po którym zostały nad fabryką tylko skłębione chmury szarego, duszącego dymu.

Uratowano wprawdzie większą część fabryki, jednakże skład węgla i mieszkania robotników spłonęły. Straty były znaczne. Powód ognia nieznan.



## WESOŁY KAĆCIK.

W ostatnich czasach rzuciło się we Francji do pióra wiele osób, które nie posiadają należytego wykształcenia, a wszystkiego wyczekują od „boskiej istoty talentu“, popełniają w swych pismach szereg błędów językowych i rzeczowych, oraz wojują z frazesami. Roi się od nich zwłaszcza dziennikarstwo.

Oto kilka przykładów:

Stu Polaków, prowadzonych przez pułkownika Zermańskiego towarzyszyło Napoleonowi na wyspę św. Heleny.

Ci sami wolontariusze polscy zaciągnęli się do armji francuskiej w roku 1871, a później w 1914 walczyli w naszej Legji cudzoziemskiej.  
„La France de Bordeaux“, 5 mai 1924.

\* \* \*

„Le Matin“, 22 Nov. 1924.

Pan Balteux 63 lat liczący zranił podczas sprzeczki sąsiadkę swoją panią Paumier; następnie wpakował sobie kulę w głowę, podciął sobie gardło i powiesił się. Wynikła z tego śmierć.

\* \* \*

Rozmowa przed rzeźbami, przedstawiającemi zwycięstwo pod Samothrace i Venus z Milo.

Toto: Powiedz mamie, kto pokaleczył te rzeźby?

Matka: To Prusacy, moje dziecko, nie zapomnij o tem nigdy.

„Dans le Matin“, 22 Nov. 1924.

\* \* \*

Edward III skończy jutro 66 rok życia i rozpoczyna 67-y.

„L'etoile belge“, 10 Nov. 1907.

\* \* \*

Cesarz Wilhelm przyjechał do Londynu dziś rano i pozostanie aż do odjazdu.  
„Ecclesiaste, chap. IV oerset 2“.

...Dlatego też cenię więcej zmarłych, którzy już zmarli, aniżeli żywych, którzy jeszcze żyją.  
„Lyon Republicain“.

## ŁAMIGŁÓWKA.

I. K. I. kl.

1:		+		
2:		+		
3:		+		
4:		+		
5:		+		
6:		+		
7:		+		
8:		+		
9:		+		
10:		+		

Na miejscu krzyżyków, nazwisko wygnańca-Polaka.

**Znaczenie wyrazów:** 1) Część uprzęży konia. 2) Odstępca od wiary chrześcijańskiej. 3) Inaczej skaut. 4) Kwiaty ogrodowe. 5) Inaczej związek. 6) Wyższe rachunki. 7) Nakrycie. 8) Imię żeńskie zdrobniałe. 9) Imię męskie. 10) Przyjemny sport.

## ŁAMIGŁÓWKA KWADRATOWA.

Lo, Ja, Lu, VI.

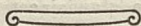
A	1					
B		2				
C			3			
D				4		
E					5	
F						6

**Znaczenie wyrazów:**

A. Kraj w Europie. B. Instrument muzyczny. C. Imię zwierzęcia. D. Kawalek. E. Świąteczko. F. Zmowa.

Litery od 1—6 dadzą nazwę miłej gazetki.

Wyrazy utworzyć ze sylab: Pol, or, azo, krom, pło, spi, ska, ga, rek, ka, myk, sek, ny.



**Dobre rozwiązania z N-ru II. nadesłały:** Brossówna I, Harasimówne I, Moszkowicz VIII, Reichstein IV i V, Kodlewicz I, Munkówna III, Heuman I, Metallman VI, Gumpłowicz VI, Gross VI, Goldberg VI, Kolankowska VI, Nowotna VI, Selinger IV, Jachim I, Knoll I.



Rozwiązanie **wszystkich** zagadek i nowe artykuły, należy przysłać do **5. maja** na ręce Maszlerówny VI kl.

Wydawca: Komitet Rodzielski.

Redakcja: Komitet uczniowski.

Kierowniczka Redakcji i odpowiedzialny redaktor: Dr. C. Piórkówna.

Drukarnia Polska Franciszka Zemanka Kraków, ul. Tał. Kościuszki 3.